



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Odwrót z pod Waterloo.



Z obrazu W. Kossaka.

Było to 18 czerwca 1815 r. W Belgii, na drodze od Charleroi do Brukselli, leży wioska Waterloo; niedaleko od niej spotkały się owego pamiętnego dnia armie: angielska pod wodzą Wellingtona, i pruska pod wodzą Bluchera z armią Napoleona Bonapartego, wielkiego cesarza Francuzów.

Wielki, tak z trudu, z energii, z bohaterstwa. Był młodzińcem, kiedy Francję zalała fala nieprzyjaciół, on odparł wszystkich od granic ojczyzny i granice te posunął aż ku środkowi Europy. Przywrócił porządek w kraju znękanym domową rozterką, wskrzesił poszanowanie religii i kościoła, prawa i ładu, dopomógł do rozkwitu bogactw

narodowych, a orężowi francuskiemu dał sławę i blask niebywały.

Szło też za nim na trudy, na śmierć tysiące ludzi, nie skąpili mu oni krwi własnej, nie liczyli mogił towarzyszy, bo mogiły te rozsiał wódz po zwycięskich szlakach. A szli nie tylko Francuzi, lecz i młodzież wielu innych krajów, zdobywanych przez Napoleona, lub łączących się z nim. Stach Szamota był jednym z wielu, miał on więcej ran na ciele, niż lat zapisanych w akcie urodzenia. Zrąbany szablami Austriaków i Włochów, pokłuty nożem zdradzieckiego Hiszpana, wyleczył się prędko i był znowu z Napoleonem pod Lipskiem a nawet na wyspie Elbie. Po tryumfalnym powrocie do Francji cesarza, udał się z nim pod Waterloo. Nie tracił nadziei w gwiazdę bohatera aż po ten pamiętny dzień 18 czerwca 1815 r., kiedy po pobicie Wellingtona, nagle przyjście wojska pruskiego odwróciło kartę dziejową i zwycięstwo przemieniło w klęskę. Ujrzał wtedy własnymi oczami, jak ubóstwiany cesarz, otoczony garstką najwierniejszych, uciekał na swym białym koniu ku Genappe.

Szamota uciekał także, popłoch ogarnął resztki walczącej dzień cały armii. Wierny kasztanek niósł Stacha po przez falujące zbożem pola; konia tego wychował sam, sam żrebca ujeździł tam hen! daleko w ustronnej, kujawskiej wiosce, ale też wdzięczne zwierzę kochało swego pana i pędziło śmiało, nie zważając na przeszkody, byle coby uciec przed kartaczami; a musiały to być straszne pociski, gdy dziś jeszcze pokazują ich ślady na starych budynkach w Genappe.

Koń pędził a Stach w duchu żegnał się z życiem. I stanął mu przed oczyma dworek, w którym błogosławili go rodzice na odjeździe. Odpiał mundur, sięgnął głęboko aż do gołej piersi, i wydobył woreczek zawieszony na czerwonej tasimce; matka zaszyła w nim obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, a on do woreczka nasypał trochę ziemi z rodzinnego zagona. Całował pobożnie drogą pamiątkę, żegnając myślą to, co najwięcej ukochał na świecie.

I nagle zrobiło mu się żal życia. Tyle trudów, tyle ran, tyle serdecznej tęsknicy, a dziś doczekał w nagrodę bolesnej w ucieczce śmierci. Na toż było zbierać laury, i zginąć jak ruda mysz gdzieś pod belgijskim płotem.

— Ach, gdyby chociaż raz jeszcze zobaczyć cesarza — pomyślał i wstrzymał na chwilę kasztanka, żeby rozejrzeć się po polu walki. Zmrok zapadł już na ziemię, w stratanem zbożu leżały ciała zabitych, ponad krwawą niwą przeciągały stada kraczącego ptactwa. Dwie mocarki: noc i śmierć niosły uspokojenie światu.

Nagle zamajaczyło w oddali, duch? nie, to szedł ktoś od pola i prowadził za lejce wierzchowca. Koń był biały, śmiertelnie znużony, jeździec niski, mundur na nim zielony, z pod munduru błysnęła brylantowa gwiazda, na purpurowym, aksamitnym czapraku, okrywającym konia, widnieje złotem haftowana litera N.

Szamocie dech zaparło w piersiach, nie wierzy oczom, myśli płaczą mu się w mózgu.

— To on! bohater, bożyszczko milionów! Zeskoczył z kasztanka i przypadł do nóg cesarza, bo wielki ból szarpał mu serce.

W tej samej chwili nadbiegło kilku marszałków, generałów. Wierni towarzysze broni odnaleźli cesarza i odnalazłszy, wprowadzili z pogromu. Szamota popędził na kasztanku ku granicy francuskiej. Czuł na piersiach obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej i tę garść ziemi ojczyznej, którą uniósł z kraju, a w uszach brzmiały ostatnie słowa, które z ust Napoleona usłyszał.

Z. Bukowiecka.

WAKACYE W WARSZAWIE.

POGAĐANKI O ARCHITEKTURZE

przez

Waleryę Marrené - Morzkowską.

I.

W końcu czerwca mieszkanie państwa Jaczyńskich przedstawiało obraz ruiny i nieporządku, zwykły w czasie kiedy cała rodzina wybiera się gdzieś na czas dłuższy. Zdjęto franki i portyery, dywany zwinięto, meble przykryto pokrowcami, usunięto wszystkie drobiazgi i sprzączki, stanowiące ozdobę mieszkania. Kufry i kosze upakowane stały w jadalnym pokoju, a wszędzie panowała przykra woń terpentyny i naftaliny, która nie tylko mole ale i ludzi mogła z domu wystraszyć. Dwunastoletnia Halinka i o rok starszy Tadzio, dzieci państwa Jaczyńskich, pochowały do koszyka swoje książki i drobiazgi, myśląc coby jeszcze zabrać; oboje tak rozradowani, że śmiali się bez powodu, gonili się, przeskakiwali przez kosze i paczki, ku wielkiemu zgorszeniu kucharki Marysi, która starała się jaki taki ład zaprowadzić w pokoju, gdzie państwo mieli jeść obiad, bo wyjazd miał dopiero jutro nastąpić.

Dzieci cieszyły się, gdyż wakacye są zawsze miłe, wyjechać na wieś bardzo przyjemnie a cóż dopiero, kiedy się jedzie do stryjostwa i kuzynków, których było sześcioro, do ślicznej wsi z wielkim ogrodem, pełnym tak smakowitych owoców i tylu przeróżnych dobrych rzeczy, że się nawet na obiad wracać nie chciało. Co tam obiad, to dobre w mieście, ale kiedy się ma na każde zawołanie kwaśne mleko na wół ze śmietaną i taki wyborowy chleb razowy, ktoby tam o nim myślał. A jakie tam były zabawy. Można było jeździć konno na kucykach kuzynków, wozić się łódką po stawie, huścić, grać w krokieta. Słowem Marczyn stryjostwa była to taka wieś, w której chyba ptasiego mleka brakuje, i dzieci nie mogły sobie wyobrazić, by gdziekolwiek na świecie lepiej być mogło, a jeśli kiedy pomyślały o raju, raj ten w ich główkach przybierał kształty Marczyzna.

— Marysiu — spytała nagle Halinka — czemu my dziś nie jedziemy?

Marysia spojrzała na nią zdziwiona a Tadzio pochwycił:

— Zapomniałaś, że dziadzi wczoraj było niedobrze, mama poszła się rano dowiedzieć, jak się miewa i dotąd nie wraca.

— A jak dziadzio będzie długo chory?

— To mama powiedziała, że nie pojedzie wcale.

Twarzyczka dziewczynki przedłużyła się.

— Więc jakże to będzie?

Tadzio zafrasował się także, ale po chwili z optymizmem właściwym wiekowi, który jeszcze żadnych nieszczęść nie doświadczył, odparł:

— Dziadzio już pewno zdrow. Czy pamiętasz, żeby kiedy chorował?

— Prawda — zawołała uspokojona siostra — dziadzio zdrow, zawsze z nami figluje.

I zabrali się znowu oboje do pakowania swoich drobiazgów, pewni, że jutro pojedą.

Przyszedł wkrótce pan Jaczyński. Miał on także różne sprawunki i interesy przed wyjazdem. Zdziwił się, że niema jeszcze żony, bo nie sądził także, by choroba teścia była ważną, zaniepokojony poszedł dowiedzieć się o niego.

Marysia na zwykłą godzinę przygotowała obiad i była zła, że nikt nie przychodził. Gniewała się, że pieczeń wyschnie na nic, młode kartofle zdębieją, legomina opadnie,

a tymczasem zbliżała się już czwarta, dzieci były głodne i Marysia dała im po kawałku chleba.

Nadeszli wreszcie państwo Jaczyńscy, oboje bardzo zmartwieni. Choroba dziadzi była niebezpieczna, wymagała wielkich starań a w najlepszym razie, musiała przeciągnąć się długo. Naturalnie w tych warunkach pani Jaczyńska nie mogła opuścić rodziców. Kazała więc wyjąć z kufra swoje rzeczy, bo dzieci z ojcem tylko miały naza jutrz jechać do Marczyzna.

Dzieci zmartwiły się bardzo, kochały całym sercem dziadunia. Był on dla nich tak dobry i tyle im zawsze robił przyjemności, tak pięknie opowiadał powieści. Zaczęły płakać, wołać, że i one do Marczyzna nie pojadą, ale będą dziadunia pilnowały.

— Ja potrafię dać lekarstwo — wołał Tadzio — pamięta mama, jak Halinkę bolało gardło, to ja jej wlewałem w buzię.

— A ja potrafię przynieść wody z sokiem — przerwała siostra.

— A ja dziadziowi czytać będę — pysznił się Tadzio. Dziadzio mnie chwalił, że dobrze czytam. Aha!

Te zapaly przerwała pani Jaczyńska, mówiąc, że chory potrzebuje przedewszystkiem spokoju, że ona i matka będą kolejno czuwały przy nim, a dzieci byłyby tu tylko zawadą, że urządzili więc oboje z mężem, że one z ojcem pojadą na wieś, skąd pan Jaczyński będzie mógł zaraz powrócić.

Smutno jednak zapowiadały się wakacje, bo Tadzio i Halinka przywykli spędzać je z tymi, których najwięcej kochali, a stryjostwo i kuzynkowie nie mogli przecież zastąpić mamy, rodziców.

Tymczasem stało się inaczej. Wieczorem nadszedł telegram z Marczyzna. Jedno z dzieci stryjostwa dostało szkarlatyny, ostrzegano o niebezpiecznej, zaraźliwej chorobie, którą prawdopodobnie wszystkie dzieci będą przechodziły.

Wobec tego nie można było myśleć o wyjeździe, rozpakowano kufry i rozgospodarowano się znowu w mieszkaniu.

Dzieci patrzyły na to smutnie i przerażone. Tyle chorób na raz, a prztem nie zdarzyło im się dotąd wakacyi spędzić w Warszawie i wprost nie wiedziały, co będą robiły z czasem, tem bardziej, że pani Jaczyńska nie mogła się niemi zająć a wszyscy prawie znajomi, przyjaciółki, koledzy i koleżanki powyjeżdżali.

— No — zapytał ich ojciec — kiedy w domu zapano wało już trochę porządku, czy pomyślało z was które co będziemy przez te wakacje robili, żeby czas przeszedł nam o ile możności pożytecznie.

— Będziemy się nudzili, proszę taty — odparł smutnie Tadzio.

Halinka zawtórowała mu westchnieniem.

— Słicznie, alboż nie wiecie, że nudzą się tylko ci, co nie mają rozumu, miałem o moim synu lepsze wyobrażenie. — To poradź nam co tatku, powiedz czem te dnie zapełnić!

— Na wsi biegaliście po polach, po ogrodzie, a gdybyśmy tak spróbowali pochodzić po mieście?

— Po mieście! Cóż tutaj ciekawego? znam Warszawę jak moją kieszeń — dodał Tadzio z przechwałką.

— Doprawdy — spytał z uśmieszkiem pan Jaczyński — znasz ją tak dobrze, no, to opowiedz mi jak ona wygląda.

— O tatku! Znam przecież wszystkie główne ulice, znam kościoły, znam teatr, ratusz, Łazienki, coż tatko chce więcej?

— Znasz kościoły! no, więc powiedz mi, jak którykolwiek z nich wygląda.

— Jakżeż ja to mogę powiedzieć.

— Rzecz, którą się zna dokładnie, zawsze można opisać. No, powiedz mi np. jaki jest kościół katedralny, a może też Halinka ci dopomoże. Bywacie w nim często, byliście nie dawniej jak zeszłej niedzieli.

— Kościół katedralny — zaczął Tadzio. — Kościół katedralny — powtórzył, szukając w głowie, jakaby dać ojcu odpowiedź... — Kościół katedralny stoi przy bardzo wąskiej uliczce — zawołał wreszcie tryumfalnie, przypominawszy sobie tę okoliczność.

— Prawda, ale coż mi więcej o nim powiesz?

— Jest bardzo duży i bardzo piękny — wtrąciła Halinka.

— Tak, jest duży i piękny — powtórzył pan Jaczyński — ale zastanówcie się, że te wyrazy duży i piękny nie są właściwie żadnem określeniem. To co w jednych oczach jest duże, w drugich może wydać się małym, bo to są rzeczy względne tak samo jak piękność; a ponieważ dzieci nie zdawały się go dobrze rozumieć, szukał odpowiedniego przykładu. — Ot — wyrzekł. — Przypomnij sobie Halinko — dodał — tę strojną panią, która była u nas niedawno, wszyscy nazywali ją piękną a ty powiedziałaś Tadziovi: ona brzydka.

— Tatku, to przecież chodziło o panią nie o kościół.

— A jednak to dowodzi, że wyraz piękny określa zwykłe wrażenie osobiste, a nie jest żadną cechą znamionną. W samej Warszawie jest pełno kościołów dużych i pięknych, stojących przy wąskich uliczkach: jest kościół św. Marcina, przy ulicy Piwnej, św. Jacka przy ulicy Freta, Najświętszej Panny Łaskawej przy ulicy Ś-to Jańskiej i wiele innych, jakżebyśmy ich rozróżnili.

Tadzio i Halinka musieli przyznać, że nie potrafią nic więcej powiedzieć o gmachach, które przecież widzieli tyle razy.

— A więc — wyrzekł pan Jaczyński — miałem słuszość mówiąc, że nic a nic nie znacie miasta, gdzieście się urodzili i wzrastacie. Czy wiecie dla czego? Oto patrzcie, a nie widzicie.

— O tatku — przerwała Halinka — ja przecież mam doskonałe oczy, wszyscy to mówią, na końcu ulicy rozpoznam osobę.

— Żeby widzieć, nie dość dobrych oczów, trzeba czegoś więcej.

— Wiem, wiem — zawołał Tadzio — uwagi, prawda?

— Naturalnie, naprzód uwagi a potem jeszcze czegoś, co przy uwadze nabyć łatwo.

— Jaktó! żeby nie tylko patrzeć ale widzieć?

— Tak, moje dzieci, trzeba także pewnej znajomości rzeczy, która nie tylko uczy jak rozróżniać przedmioty, ale także jak dopatrzeć cech znamionnych, nadać im właściwą nazwę i dobrze je określić.

Dzieci spojrzały na ojca trochę zdziwione, ale wnet zawołały:

— Tatko nam będzie wszystko objaśniał. Nieprawdaż?

— Będziemy rozmawiali o tem, co nas zastanowi.

— O, to już pewno nudzić się nie będziemy — zawołały dzieci. — W Marczyźnie bawiliśmy się najlepiej, kiedy ojciec poszedł z nami w pole lub do ogrodu, uczył nas rozoznawać drzewa, zboża, kwiaty, opowiadał jaki z nich użytek.

— Tak samo robić będziemy w Warszawie, a może znajdziemy tu rzeczy równie ciekawe, jak na wsi.

— A kiedy zaczniemy?

— Choćby jutro, jeśli zdrowie dziadzi na to pozwoli. Dziś uporządkujcie swoje książki, kajety, zabawki, a jutro zaczną się wakacje. Przed południem wyjdziemy, pamiętajcie, bądźcie gotowi, jak was zawołam.

(d. c. n.)





Ubiory włościan polskich z XVI wieku (str. 200).

Zofia Urbanowska.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej

(Dalszy ciąg)

XXVI. Róża bez kolców.

Uroczym zakątkiem jest dolina Strążyska: nie tak imponująca ogromem i gotyckimi kształtami kamiennych wież, jak Kościeliska, ale jednak wspaniała i pełna powabów. Jeżeli Kościeliska jest świątynią, której charakter najlepiej się maluje, gdy w niej zamiast organów, pioruny grają hymny, a błyskawice przyświecają zamiast gromnic, w Strążyskiej nie razi śpiew ptaszyny, albo piosenka pastusza. Tam Bóg i Sędzia Najwyższy przejmują cziłą pełną bojaźni, a tutaj łagodny przebaczący Ojciec budzi w sercu grzesznika nadzieję. Tam czarne smereki bramiają ściany skaliste, niby wieńce żałobne, między którymi tu i owdzie błyszczą czerwone korale jarzębiny, jak duże krople krwi widne zdaleka, a tutaj liczne gromady buków, młodych i starych, rozweselają ciemne tło świerków, jasną między nimi błyskając zielenią. Kościeliska posiada olbrzymią nawę, wyniosłe wieże i liczne po bokach kaplice, ale nie posiada chrzcielniczy tak wspaniałej jak Strążyska pod Ge-wontem, który jej daje tło imponujące, a przybrane w roślinność tak bogatą, tak bujną, że przypomina fantastyczne powieści o lasach dziewiczych, a dla botaników jest kopalnią prawdziwą. Jeżeli wreszcie Kościeliską nazwano „perłą Tatr” najpiękniejszą, to Strążyska słusznie mieć winna nazwę „perełki.”

Brzegiem potoku, ścieżką wydeptaną między kamieniami siedł Henryk w nowym ubraniu z szarego płótna góralskiego, uszytem ręką babuni Kasi, i w kapeluszu z góralskiej słomy z dużym rondem. Towarzyszył mu Król, pastuszek Ślimaka. Gazda miał na Reglach pastwisko, a Król pasał tam krowy i wygrzewał się w słońcu, lub zbierał poziomki, maliny i grzyby. Teraz zostawiwszy krowy swoje na stoku Regli, i nasłuchując odgłosu ich dzwonek, zaprowadził Henryka do doliny, i objaśniwszy go, jak ma iść dalej, którądy się kierować i co omijać, wrócił do swoich krówek, a po chwili zdaleka słychać było jego piosenkę wesołą:

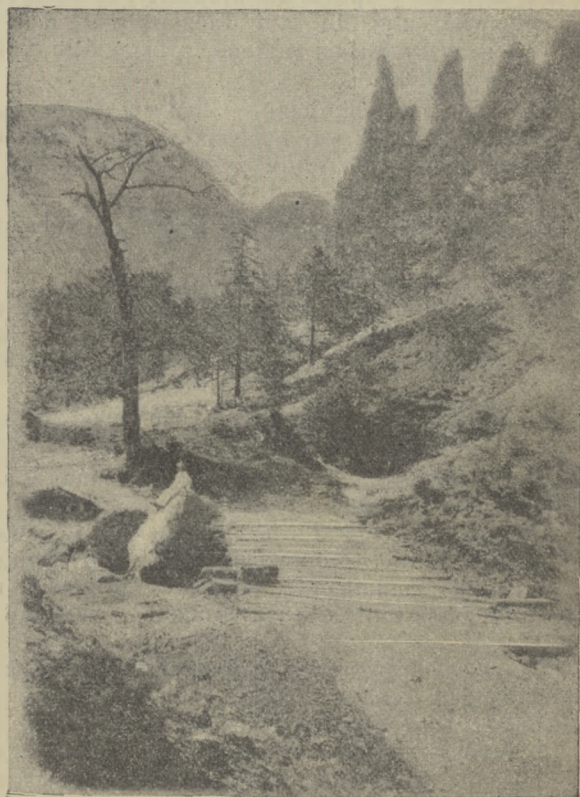
„Chłopiec ci ja, chłopiec
Zbójckiego rodu,
Pójdę paść owieczki,
Nie będę marł głodu.

Chociem se chudobny
Ale se śleobodny;
Chodzę po śleobodzie
Jak rybka po wodzie.

Śpiewam sobie śpiewam,
Chocia ja nic nie mam;
Ptaszkiowie śpiewają,
Chocia nic nie mają.”

— Kwiatula, gwiazdula, uu, hu, hu, hu!

Henryk słuchał i przy tem rozglądał się uważnie po obu stronach, upatrując róży bez kolców. Doktor powiedział mu, że krzak ten rośnie w krainie dolnych Regli, niema więc nic niepodobnego, że rośnie w Strążyskach. O, jakże byłby szczęśliwym, gdyby mu się znaleźć ją udało! Mało oczu nie wypatrzył, mało sto razy już myślał, że ją znalazł, i spostrzegł, że się myli. Dokoła nie-go rosły precudne paprocie, skalnice, śliczne nieśmiertelniki, lilije Martago i cała rzesza kwiatów znanych mu już z Kościelisk, bo tu był ten sam grunt wapieniowy, sprzyjający ich rozwojowi i te same warunki istnienia, wilgoć którą piły chciwie, unosząc się nad strumieniem i skraplającą na ich liściach. Znalazł goryczkę żółtą, znaną mu już z wycieczki do Morskiego oka i całą gromadę goryczek niebieskich, w różnych odmianach; znalazł też mnóstwo storczyków lilijowych i białych, pachnących tak cudnie, że choćby się nie wiedziało o ich obecności, domysleć się jej można po zapachu i wysledzić, nawet gdy się kryją między wysokie kłosa traw i paproci. Znalazł też jeden, jakiego dotąd jeszcze nie widział, bardzo osobliwy, o którym wątpił czy może być storczykiem, chociaż miał wszystkie ich cechy. Był to storczyk kulisty, zwany *Orchis globosa*, wyglądający jak kulka z kwiatów złożona. Szarotki patrzyły nań z wysoka, wabiąc ku sobie śnieżną bielą i promienistym kształtem. Mógł je być dostać bez wielkiego trudu, ale nie sięgał po



Dolina Strążyska.

nie: rwał tylko to co było najbliżej i miał już sporą wiązkę kwiatów, ale nie cieszyły go one tak jak dawniej; smutny był i zamyślony, więc nie jeden cenny okaz uszedł jego uwagi. Babunia powiedziała mu wczoraj, że niedługo już w górach zabawią, a to odebrało mu humor i przywiodło tutaj w nadziei, że przed odjazdem jeszcze znajdzie różę bez kolców.

— Jest wszystko prócz tego, czego szukam — myślał z zalem, patrząc na bogactwo kwiecia, pokrywające stoki. — Gdzie jesteś, o różo bez kolców? Różo alpejska, gdzie jesteś? Pokaż mi się!

Uczul lekki powiew na twarzy i coś mu przeleciało koło ucha. Spojrzał: przed nim fruwał wspaniały motyl *Doritis Apollo* znany muz Muzeum tatrzańskiego, a barwne jego skrzydełka lśniły w słońcu tysiącem blasków. Henryk zachwycony ścigał go oczyma i spostrzegł, że motyl fruwał na drugą stronę potoku, nad urwisko i usiadł na jakimś krzaku. Przysłonił ręką oczy żeby lepiej widzieć i spostrzegł go, doznawszy przytem nadzwyczajnego wzruszenia. Krzak na którym siadł motyl, był to krzak róży około pięciu



Motyl. *Doritis Apollo*.

stóp wysoki, okryty kwiatem przepyszej, różowej, prawie purpurowej barwy.



Goryczka niska. *Gentiana acaulis*.



Szarotka.



Zmija, Grzmieł. *Pelias berus*.



Róża bez kolców. *Rosa alpina*.

Chłopiec nie namyślając się, rzucił kilka kamieni w wodę i po tak zaimprovizowanym moście przeskoczył na drugą stronę, a serce biło mu jak młotem z pragnienia i niepewności, czy to naprawdę ta której szukał. Ale to ona była, *Rosa alpina*! Gałązki jej ciemno-brunatne, nie miały kolców, tylko mały delikatny meszek.

— Dzięki Bogu! mam ją, mam! — szeptał ze wzruszeniem. — Jakże się sir Edward ucieszy!

Drżącymi rękami zerwał dużą, okrytą kwiatem gałązkę, i zdjawszy kapelusz założył za wstążkę, jaką był opa-

sany. Myślał chwilę, czyby nie wykopać krzaka z korzeniami, ale nie miał z sobą łopatkę żelaznej, którą możnaby go wyjąć z gruntu bez uszkodzenia—a przy tem, sir Edward może zechce sam dopilnować wyjęcia z wszelkimi ostrożnościami, aby krzak zniósł bez szkody długą podróż po lądzie stałym i po morzu. Krzak wykopany, zwiądłby i może usechł, zanim sir Edward dojedzie do Anglii, więc lepiej go tutaj przyprowadzić. Do końca doliny nie miał już Henryk po co iść dzisiaj. Pragnął czempredziej zanieść sir Edwardowi cenną zdobycz i zawrócił z powrotem do Zakopanego.

Szedł ku wyjściu doliny krokiem lekkim, szybkim, bo radość przypięła mu skrzydła. Zaledwie uszedł ze sto kroków, ujrzał kogoś śpiącego w cieniu drzewa. Zdaleka widniały piękne buty ze sztylpami, błyszczące w słońcu; brązowa aksamitna kurtka i nowy tyrolski kapelusz z piórem, zieloną wstążką opasany. Obok leżał kij alpejski, lornetka na pasku rzemiennym i para pięknych rękawiczek z mankietami, jakich się używa do konnej jazdy. Z tych wszystkich oznak sportowej elegancji Henryk domyślił się Dawida, zanim jeszcze zobaczył twarz jego, okoloną puklami jasnych, widocznie fryzowanych włosów: Spał z ręką podłożoną pod głowę, na miękkim posłaniu z mchu, a sny jego niewesołe być musiały, bo czoło marszczyło się chwilami,

a twarz przybierała wyraz frasośliwy. O parę set kroków od niego, na stoku góry, Walter z puszką przewieszoną przez ramię i łopatką w rękę, zbierał rośliny.

Niespodziany widok chłopca, który go niedawno tak ubliżającym dotknął podejrzeniem, zmroził od razu radość Henryka, a myśl o niesprawiedliwości, jakiej doznał, zalała serce jego gniewem i goryczą. Chociaż lubił bardzo Waltera, z którym się poprzyjaźnił w drodze do Morskiego Oka nie chciał się z nim teraz spotykać, gdyż to doprowadziłoby do spotkania z Dawidem, którego nie lubił—więc wołał od-

dalić się niepostrzeżony. A przytem, miał jeszcze inny powód: nie chciał, aby wiadomość o znalezieniu róży bez kolców doszła do sir Edwarda wprzód, zanim on mu ją doręczy — i naprzód się cieszył widokiem jego radości i zdziwienia. Dotknął ręką swego skarbu, jakby się bał żeby mu go kto nie odebrał — i chciał się szybko oddalić.

Odchodząc rzucił przelotne spojrzenie na śpiącego Dawida, przyczem dojrzał w oddaleniu kilkunastu kroków od głowy jego, ruch traw i paproci — a że wiatru najłżejszego nie było, więc ruch ten niczem nieusprawiedliwiony, zastanowił go, i przystanął. Z pod kępy wrzosów i drzazgi wysunęła się niewielka płaska głowa, opatrzona dwójgim bystrych wypukłych oczu, pozbawionych powiek, a potem wązki, szary, łuskami pokryty, czarno centkowany grzbiet, przedłużający się powoli i posuwający ku śpiącemu coraz bardziej, ruchem falistym.

— Żmija — szepnął chłopiec struchlały — żmija jadowita. Slimak mówił, że jadowite są szare kropkowane, a ta jest właśnie szara!

Patrzył przez chwilę jak zahipnotyzowany, na walcowate, beznogie ciało żmii, spodem białawe, a z wierzchu czarniawo-brunatnym oznaczone rysunkiem, wyglądającym jak zygzak piorunu na brunatnej chmurze — a serce mu biło jak młotem. Żmija posuwała się coraz dalej: miała może więcej niż metr długości, i już była niedaleko Dawida: podniosła głowę, otworzyła paszczę, wysunęła długi, niewielki, na dwa cienkie końce rozdzielony język — jeszcze chwila, a ukąsi śpiącego... Ukąszenia żmii bywają śmiertelne...

Henryk oprzytomniał: wyciągnął rękę z siekierką i metalowem jej ostrzem uderzył żmiję w łeb, która drgnęła pod ciosem niespodzianym i zwinęła się w kłębek. Jeszcze kilka uderzeń, i gad leżał martwy. — ale ruchy te obudziły Dawida, bo kilka drobnych kamieni stoczyło się przytem po pochyłości, na dół do strumienia. Zerwał się napół przestraszony, i zawołał z gniewem:

— Kto u diabła ośmiela się mi przeszkadzać? A nie widząc nikogo, rzekł do siebie z głośnem ziewnięciem. — Pewnie krowa potrafiła kamienie idąc wyżej ku górze. A szkoda, tak smacznie spałem!

— To ja, — odezwał się Henryk tuż za nim.

Dawid odwrócił głowę i podparłszy się na łokciu, rzekł ze złością:

— To ty, *mały* Polaku? Czyż masz za mało miejsca w Strażyskach, że ci przyszła ochota tutaj koło mnie urządzić sobie głupie zabawy rzucaniem kamieni, i przeszkadzać mi spać?

I dodał szyderczo:

— Ale gotów jestem przebaczyć ci, jeżeli mnie przeprosisz i powiesz, że ci się to tylko przypadkiem zdarzyło.

Henryk popatrzył na zarozumiałego panicza z politowaniem i odrzekł.

— Mylisz się *wielki* Angliku, wcale cię przeproszać nie będę. Dowiedz się, że nie zrobiłem tego przypadkiem.

Dawid osłupiał. Pierwszy to raz usłyszał że ktoś otwarcie przyznawał się, iż chciał go obrazić. Nic podobnego nie zdarzyło mu się jeszcze nigdy, i nie mogło się pomieścić w jego głowie płytkiej i nawykłej do otoczenia, spełniającego skwapliwie wszystkie jego zachcianki i kaprysy. Począwszy od matki, a skończywszy na służbie, wszyscy prócz dziadka ulegali mu. Pierwszą gorzką lekcję upokorzenia wziął na drodze do Morskiego Oka — a teraz dostał niespodzianie drugą. Nie wierzył uszom własnym, ale czekał. Widząc zaś, że Henryk nie dodaje ani słowa dla złagodzenia wrażenia słów poprzednich, wykrzyknął ze złością:

— Na to trzeba być gburem!

Krew zawrzała w żyłach Henryka, ale powściągnął się i rzekł spokojnie:

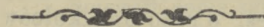
— Gburem jest ten, kto drugich znieważa bez powodu. Ty, mój panie, na Krzyżnem już dowiodłeś, że ci się ten tytuł prawnie należy.

Dawid poczerwieniał. Chciał odpowiedzieć nowem grubiaństwem, ale przypadkiem wzrok jego padł na gałązkę róży zatknietą za opaskę kapelusza Henryka i zbladł.

— Co to jest? — zawołał — róża z gładką gałązką! Czy to nie jest czasem róża bez kolców?

— Nie omyliłeś się: to jest róża bez kolców, czyli róża alpejska.

(d. c. n.)



Maruchna.

OBRAZEK ŚWIĘTOJAŃSKI.

Za kwiatkiem szczęścia, kto w życiu goni.
Temu liść zwiędły zostanie w dłoni.

Była sierotka. We wsi sama jedna;
Nikt o nią nie dbał, kiedy głodną była.
Pod okiem Boga żyła cicha, biedna —
I codzień gęsi w pole paść chodziła.

Słuchała nie raz, jak mawiali starzy,
Że w noc Sobótki kwitnie kwiat paproci...
Kogo tym kwiatem Marya obdarzy —
Tego za życia Bóg szczęściem ozłoci.

Bierze Maruchna w noc Świętego Jana
Kredę, w Trzy Króle święconą w kościele:
Świętość odpędzi od niej moc szatana —
Więc w las z nią idzie, gdzie paproci wiele...

Sowa z dzwonnicy zakrzyczała czasem —
W północnej ciszy spało całe siolo...
I tylko księżyc płynął ponad lasem —
A w lesie dziewczę kredą kreśli koło...

Siadła Maruchna pomiędzy paprocie —
I czeka kwiatka, o swem szczęściu marzy...
A księżyc świeci, gwiazd iskry się krocie,
Jakby je Marya stawiała na straży.

Po głowie dziecka już się plany roją,
Jak jeździć będzie wspaniałą karocą,
Gdy wieś rodzinną zakupi na swoją;
Widzi, jak w dworze komnaty się złocą...

Już w miejsce dworu stanął pałac złoty...
A ona — ona już panią bogatą:
Karmi, odziewa zgłodniałe sieroty...
Choć wielka pani, nie pogardza chatą!

I kwiat paproci w śnie swoim urywa,
Do ust przyciska i do piersi tuli:
Wolniej oddycha — już całkiem szczęśliwa,
Jak gdyby spała na łonie matuli.

Lecz gdy się rano obudzi, o świecie,
Zamiast kwiatuszka, znajdzie listek w dłoni:
Gorzko zapłacze zawiedziona dziecię
Od łez gorących napróżno się broni.

* * *

Bóg się zlitował nad losem sieroty.
I w krótkim czasie zabrał ją do Siebie
I dał jej szczęście, pałac dał jej złoty...
Oddał sierocie jej matulę w niebie...

Kazimierz Kalinowski

Dzienniczek Wandzi.

(Dalszy ciąg).

Na pokładzie Colombo 13 czerwca.

Dzisiaj rano wypłynęliśmy do zatoki *Tourane*, gdzie staliśmy trzy godziny. Tutaj wsiadł jeden jedyny pasażer, ale ponieważ statek daleko stał od brzegu, więc nie wysiadaliśmy wcale na ląd. Miasteczko *Touranne* oglądałam tylko z daleka. Jest to posiadłość francuska, a cały *Anam*, to protektorat.

Zatoka jest śliczna, cała otoczona górami, bliżej lub dalej będącemi, stąd mnóstwo kolorów i odcieni, od fioletowego do zielonych i szarych, a na dole morze ciemno modre, pokryte łódeczkami, na których pełno małow, ci ręce składają, biją czołem, aby im rzucić trochę pieniędzy. Na jednej łódce siedziała zupełnie już siwa kobieta, bardzo brzydka i dziwnie wyglądająca. Wskazywała to na niebo to na ziemię, aż jej się bałam, bo wyglądała na czarownicę, ale może to była wariatka, w każdym razie długo jej nie mogłam zapomnieć, stała mi ciągle przed oczyma ze swoim nieprzytomnym, a jednak przenikliwym wzrokiem, przypominając wszystkie bajki o czarownicach, jakie mi się zdarzyło słyszeć. W nocy nawet obudziwszy się, pierwsza rzecz o niej pomyślałam i wziął mnie okropny strach. Musiałam długo sobie perswadować zanim usnęłam na nowo. Teraz jedziemy do *Huiphong*, lecz że woda niska, więc nie dopłyniemy zupełnie, tylko zatrzymamy się o trzy godziny, a łódki przypłyną do nas. Staniemy tam jutro koło 12-tej w południe, do miasta dostaniemy się dopiero wieczorem, bo długo potrwa zanim rzeczy wszystkie wyładują. To też tego dnia już pewno na parowiec nie zdążymy, więc przenocujemy tę ostatnią noc na *Colombo* i dopiero nazajutrz do *Hanoi* wyruszymy, dokąd się jedzie 18 godzin.

Ostatnia noc jeszcze na statku. Za kilkanaście godzin przyjdzie mi się pożegnać z *Colombo*!

Doprawdy, przykrą mi jest myśl rozstania się z nim. Jemu zawdzięczamy serdeczną przyjaźń z pp. *Péllacot*, w których znaleźliśmy prawdziwych i oddanych nam przyjaciół. Oby oni tylko i p. de *Réoblanc* zostali z nami w *Hanoi*, a nie byli posłani do jakiego oddalonego miejsca, gdyż rozstanie z nimi byłoby dla nas bardzo ciężkie. A pan de *Réoblanc* to taki miły i przyjemny towarzysz, mamusia mówi, że on jest taki, jakby się urodził w Warszawie, a nie w *Grenoble* we Francji.

Na pp. *Styglitzów* bardzo się cieszymy, zawsze to miło pomyśleć, że oni tam na nas z upragnieniem czekają, więc nie będziemy zupełnie opuszczeni, bo to tacy dobrzy ludzie. Ona bogata z domu, ma rocznego dochodu od swego posagu 20000 fr. t. j. około 7700 rubli. Ale pani *Styglitz* jest bardzo miła, taka naturalna, pocziwa i wcale nie dumna.

Już pięć tygodni jesteśmy bez wiadomości o swoich, ciekawam, czy jakie listy czekają na nas w *Hanoi*. Jak tam w *La Barre* i w kraju, muszą wyczekiwać wiadomości, czy szczęśliwie dojechaliśmy na miejsce, jak niepokoją się o nas, modlą za nas.

No, żegnaj mi kochany *Colombo*, żegnaj, a za trzy lata przyjeżdż po nas, abyś nas zdrowo odwiózł z powrotem do Francji. Ruch panuje tu nie do opisania, każdy się szykuje do opuszczenia statku, każdy z niecierpliwością oczekuje chwili wylądowania na dobre.

Kończę tę część dzienniczka, a tak mi jakoś smutno, nic nie mam otuchy, coś mi jakby ciężko na sercu. Ale to może klimat temu winien.

Polecam Ci się, Matko Najświętsza, bo mi tak jakoś smutno, jakbym się obawiała tego, co będę pisała dalej.

Więc strzeż nas, jak dotąd strzegłaś. Chroń nas od wszystkich możliwych nieszczęść. Panienko *Częstochowska*, dla Ciebie niema ani czasu, ani przestrzeni, widzisz nas tak samo dobrze, jak gdybyśmy klęczeli u stóp Twoich, na stopniach ołtarza, a promienie z Twojej brylantowej sukienki padały na nasze pochylone głowy. Więc czuwaj nad nami, więc ratuj nas, bo pomimo oddalenia, pomimo, że jesteśmy w innej części świata, zawsze Twój i tylko Twój jesteśmy poddani.

CZEŚĆ CZWARTA.

w Tonkinie.

Hanoi.

Od kilku dni jesteśmy na miejscu, ale jeszcze nie u siebie, tylko w hotelu „*Hanoi*,” gdzie zostaniemy całe dwa tygodnie, bo o mieszkanie bardzo trudno.

Co za rozkosz po tej ciasnocie okrętowej mieć do przebiegania obszerne ulice i czuć grunt pod nogami, a nie chwiejący się na wszystkie strony statek. Oglądała już mamusia kilka mieszkań, ale nie odpowiadały naszym wymaganiom. Jedno tylko zdaje się będzie dla nas możliwe, ale jest daleko od koszar, na *rue des Nattes en Bambous*, prawdziwie podzwrotnikowa nazwa.

Hanoi jest bardzo ładne, ulice szerokie, wysadzone drzewami. W samym środku miasta jest duże jezioro z dwoma wysepkami, na jednej z nich stoi jakaś wieża, na drugiej pagoda anamicka. Za miastem jest jeszcze inne większe jezioro. Przy ogrodzie botanicznym, pagoda wielkiego *Buddy*, podobno śliczna, ale tego wszystkiego jeszcze nie widziałam, bo ojczuszek zaraz zaczął służbę w koszarach, a same oddać się za miasto nie możemy. Na przyszły tydzień, gdy ojciec będzie wolniejszy, zaczniemy zwiedzać okolice, ojciec na koniu, a my z mamusią na bacyklach, dla których *Tonkin* jest jakby stworzony, tak równe i gładkie ma drogi. Kochana pani S... we wszystkim jest nam pomocną, tak w szukaniu mieszkania, jak i w kupowaniu mebli i innych sprzętów, potrzebnych nam na nasze nowe gospodarstwo. Meblowanych mieszkań tutaj wcale niema. Każdy przybyły musi się sam meblować, ale przy wyjeździe łatwo zbyć całe urządzenie, podobno nawet bez strat.

Mieszkania stosunkowo do innych rzeczy są bardzo drogie i dla tego dają nam dodatek miesięczny w ilości 25-ciu piastrow. Jadamy chwilowo u pp. S... obiady i śniadania, chociaż mamusia broni się tym zaproszeniom, jak może, nie chcąc im robić ambarasu, tem więcej, że p. S... nie jest zupełnie zdrowa. Ale ona jest taka, jak gdyby była Polką nie Francuską; przychodzi, zabiera nas z sobą, bez żadnych ceremonii. Taka dobra, kochana, on tak samo; słów niema na wyrażenie ich dla nas dobroci. Interesują się nami jak najbliżsi krewni. Musieliśmy im opowiadać wszystkie szczegóły naszej podróży: jak nam było na statku, czy nie chorowałam, jak manusi się podobało towarzystwo, kiedy spotkała nas ta wielka burza. O wszystko, wszystko wypytawali się z wielkim współczuciem i zajęciem, a usłyszawszy o mojem znalezieniu się podczas tych krytycznych chwil, ona wstała z fotelu, na którym siedziała, podeszła do mnie i ściskając powtarzała po francusku:

— *Tu es une brave enfant, ma fille!* (Dzielne z ciebie dziecko.)

Oboje uważają, że od czasu naszego niewidzenia się bardzo urosłam. Nie mogą mi się dość nadziwić, taką mnie dużą znajdują i powtarzają ciągle:

— *Oh! mais elle est grande, notre chère Wandzi.*

Bardzo nam tu miło i swojsko, bo pp. *Péllacot*, z którymi utrzymujemy ciągle stosunki, mieszkają w tym samym hotelu co my, i także na gwałt szukają mieszkania, ale im jeszcze trudniej znaleźć jak nam, bo potrzebują większego, tem więcej, że i p. de *Réoblanc* zamieszka z nimi. Ale tylko chwilowo, bo takiego młodego człowieka wysłał niezawodnie do jakiego oddalonego portu. My i komendant-

stwo to już napewno zostaniemy tutaj, przynajmniej do końca roku.

Wcale się tu nie czujemy wygnańcami, mając przy sobie dwie te pocziwe i życzliwe nam rodziny. Obie te pa nie uważam zupełnie jak moje krewne! O bo Francuzi, kiedy dobrze, to serca mają bardzo szlachetne i są pełni przyjaźni wylanej i serdecznej, naturalnie nie wszyscy, ale jak się na zacnych ludzi trafi, to zupełnie jak by się rodzi nę odnalazło.

(d. c. n.)

Ubiory włościan polskich z XVI wieku.

Znakomity nasz malarz Jan Matejko, oprócz wielkiej ilości pięknych obrazów, wydał niezmiernie cenne album dawnych ubiorów polskich, wszelkich stanów i warstw spo łecznych, urzędów, bractw, cechów i okolic w ciągu 6-ciu wieków. Dzieło to wymagało nietylko wielkiego talentu, ale i ogromnego nakładu pracy, gdyż wzory trzeba było czerpać z rozmaitych źródeł: malowideł, pomników, pieczę ci, kielichów, medali, wreszcie ze starych kronik i opisów. Całe album zawiera 700 postaci, a w dzisiejszym numerze podajemy ubiory włościan z XVI w., które zachowały się prawie bez zmiany w niektórych okolicach do ostatnich czasów. Tylko buty, stanowiące dzisiaj prawie zawsze sta łą część ubrania, dawniej były przez lud nie używane. Cho dzono po wsiach najczęściej boso lub najwyżej w łapciach albo skórzniach. Zachowywanie wzorów ubiorów ludo wych jest rzeczą ważną wobec coraz powszechniejszego za rzucania tych strojów, pomimo, iż odznaczają się prawdzi wą malowniczością i zastosowane są do wymagań naszego klimatu.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

ul. Żubr z puszczy Białowieskiej.

1. Spółgłoska.
2. Owad.
3. Mieszkańcy państwa w Europie.
4. Miasto w Gub. Grodz.
5.
6. Twierdza franc. w Wołozach.
7. Ptak z rodz. wróblowatych.
8. Zaimek osobowy.
9. Spółgłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery pionowo złożyć mają imię słynnego historyka greckiego.

SZARADA.

Pierwsze jest znanym przysłówkiem przeczenia,
Drugie i trzecie też się nie odmienia.
Boć to przyimki, lubo krótkie trzecie,
Ma równe brzmienie z jedną z rzek na świecie.
Czwarte z szóstym jest rzeczą ludziom pożyteczną,
Szklistą ze swej natury, ze swą barwą mleczną.
Piąte wopak imię męskie *szóste* wprost litera,
A *wszystko* nazwę kwiatka małego zawiera.

ROZWIĄZANIA DO Nru 24-go.

Szurady: Kra — sny — staw.

Zadania arytmetycznego:

Za każde źle rozwiązane zadanie Stefcio tracił po 3 kop. których nie dostawał od ojca, a obok tego po 5 kop. które sam musiał płacić. Tracił zatem $3 + 5 = 8$.

Gdyby rozwiązał dobrze wszystkie zadania, otrzymałby $(3 \times 40) = 120$ kop.

Ponieważ zaś przy ogólnym obrachunku nie dostał od ojca, to znaczy, że stracił 120 kopiejek, a że za każde źle rozwią zane zadanie tracił po 8 kop., okazuje się, że źle rozwiązał tyle zadań, ile razy 8 mieści się w 120, t. j. 15, a rozwiązał dobrze 25.

Od Redakcyi.

Z powodu wyjazdów na wakacje.

Prenumeratorzy nasi warszawscy, pragnący otrzymy wać „Wieczory Rodzinne” w czasie wakacyi w miejscu swe go letniego pobytu, zechcą złożyć na kosztą przesyłki pocztowej po 10 kop. za każdy miesiąc. Prenumeratorzy zamiejscowi, zmieniający na przeciąg letnich miesięcy swój adres, zechcą nadesłać 14 kop. markami. *Jednych i dru gich prosimy o załączenie dokładnego adresu dawnego i nowego.*

Premium na rok bieżący 1901-y.

Wszyscy prenumeratorzy „Wieczorów Rodzinnych” otrzymają w IV-ym kwartale, jako upominek gwiazdkowy, *premium bezpłatne*, a mianowicie opowiadanie, pełne cieka wych przygód p. t. „W krainie tygrysów.”

KONKURSA:

Przed końcem półroczna ogłosimy dwa konkursy na wypracowania i roboty ręczne dla czytelników „Wieczorów.”

Przypominamy o wczesnem odnowieniu prenumeraty na III-ci kwartał lub II-ie półrocze r. b. dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

Sprostowanie. Pogadanka p. t. „Kasztan zakwitł” w Nr-ze 24-ym jest pióra prof. Kramsztyka, nie E. Jankowskie go, jak przez omyłkę wydrukowano w tytule.

W tym numerze dodatku książkowego nie dołączamy, za to w na stępnym dołączymy podwójny.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Odwrot z pod Waterloo przez Z. Bukowieką (z ryc.) — Wakacje w Warszawie, pogadanka o architekturze przez Waleryę Marrené-Morzkowską. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Maruchna, obrazek świętojański, wiersz przez Kazimierza Kalinowskiego. — Dzienniczek Wandzi. — Ubiory włościan polskich z XVI wieku. (z ryc.) — Łamigłówni i rozwiązania. — **Dodatek:** Piesek i lalka (z ryc.) — przygoda złośliwego Antosia, wiersz przez Gabryelę Z. — Sen Zosi, obrazek sceniczny w trzech odsłonach. — Dzieci w podróży. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Dzieńdzictwo Karola Wielkiego, powieść historyczna z IX-go wieku, Karola Deslys, przekład z francuskiego M. K.

PIESEK I LALKA.

— Mamo, dla czego Karo nie nam złego nie robi, choć mu się sprzeciwiamy, a gdy kto obcy podejdzie, to zaraz warczy i szczeka? — pytała matki Amelcia.

— Bo pies zna swoich, a obcym niedowierza i jako wierny stróż domu, pilnuje, żeby nie zrobili domownikom szkody.

— Ależ on i na dobrych ludzi zęby wyszczerza. Jak nauczyć Kara, żeby on dla gości był grzeczny?

— Trzeba go z nimi zapoznać; pieszczotliwym pogłaskaniem, łagodnym słowem łatwo psa oswoić i wnet zrozumie, kto jest gościem a kto włóczęgą.

— To ja moją nową laleczkę, którą wczoraj od babci dostałam, zapoznać z nim muszę, żeby jej nic złego nie zrobił.

To rzekłszy, Amelcia wybiegła i po chwili przyniosła śliczną lalkę, z jasno blond włoskami, w różowej sukience i czarnych bucikach; stanęła z nią przed Karem i tak do niego przemawiała:



— Mój kochany Karusiu, wiem, że obcych nie lubisz ale to moja mała córeczka, z którą chcę cię zapoznać.

Pies, jakby niedowierzając, warczeć zaczął.

— Nie gniewaj się na nią — prosiła dziewczynka — moja córeczka bardzo grzeczna, nigdy nie będzie ci doku-

czała, nie będzie targała za uszy, ciągnęła za ogon, ani much łapała przed nosem, nigdy nic złego ci nie zrobi, bo nauczyłam ją, że nie tylko dla ludzi, ale i dla zwierząt trzeba być dobrą i grzeczną. Oto widzisz, że na zgodę podaje ci rączkę.

Karo, jakby rozumiał, co Amelcia do niego mówi, spojrzał łaskawie na jej córeczkę, liznął ją po buzi, i od tej chwili dziewczynka, pies i lalka żyli zawsze w wielkiej zgodzie.

Przygoda złośliwego Antosia.

Marcinek pasał świnki, niemiła to praca:
Świnka brudne stworzenie, w kałuży się tarza,
Wszystko zjada, co spotka, w błocie się przewraca,
Wzrok nasz i węch niechlujstwem swoim wciąż obraża.

Antoś mały dzień cały tylko baki zbija,
Łapie muchy, chrabąszcze, do sadu się skrada,
I od lekcyi się codzień starannie wywija. —
Próżniak był z niego wielki i figlarz nielada.

Chociaż jednak tak mało był wart ten Antoni
Widocznie i boleśnie pogardzał Marcinkiem,
Ile razy go ujrzy zaraz za nim goni,
Zwąc go żartem ze wzgardą brudnym pasiświnkiem.

Biedny, biedny Marcinek, jak też płakał długo,
Ile razy się spotkał wśród pola z paniczem!
Lecz cóż, rady nie było, wszak był biednym sługą,
Mógł więc słuchać i cierpieć, lecz ukarać niczem.

Raz nasz Antoś kochany, a było to latem,
Uciekł z domu przed lekcyą, zwykle to wybryki,
I w przepysznym humorze, potrzaskując batem,
Jadł strąki grochu, polne tratując koniki.

Wtem, zdziwiony usłyszał jakieś liczne głosy,
Podniósł głowę i patrzy, tuż, tuż przy nim blisko,
Świnki też w grochu siedzą, a Marcinek bosy
Próżno pragnie szkodników zegnać na ściernisko.

— Hejże, malutkie — woła, i batem je zgania,
Zawracajta na ściernie i stare i młode,
W grochu siedzieć nie wolno, gospodarz zabrania,
Trzeba chyba być świnką, żeby włożyć w szkodę.

Antoś widzi i słyszy, czyż ma wierzyć uchu?
Czoło zmarszczył, zczerwieniał jakby od gorączki,
— Jak ty śmiałeś — zawołał — tak mówić pastuchu,
Kiedy ja na tem polu także jadłem strączki?

— Panicz! — krzyknął, udając zdziwienie, Marcinek
l z uśmiechem szyderskim pokłonił się nisko,
Ta skądże wiedzieć mogłem, że wśród moich świnek,
Będzie i panicz w szkodę szedł w obce pastwisko?

Gabryela Z.

SEN ZOSI.

OBRAZEK SCENICZNY W TRZECH ODSŁONACH.

(Dalszy ciąg).

Bławatek. Albo w zbożu. Wysokie kłosa, dwa razy od nas wyższe gęsto rosną, ścisną się i ochronią biednego bławatka od śmierci. Ale i to nie zawsze się uda. Cza sem jak burza przebiega chłopczyk lub dziewczynka, deptając piękne kłosa, rwąc całe pęki bławatków, maków, kąkoli... Taka rzeź pięknym bukietem się nazywa, cie-szą się dzieci, że przechadzka im się udała, że nas tyle pomordowały, że do domu swego zanoszą i pokój przystroją bukietem...

Gwoździk (*z ciekawością*). Co? co? cóż oni dalej robią z kwiatami, na co ich używają?

Rumianek. Róża z nas wszystkich najstarsza i najmądrsza, niechaj ona nam to opowie.

Róża (*poważnie i smutnie*). Smutne to dzieje, które wam opowiadać będę, ale taki już los nasz, kwiatów. Musicie go znać, tak jak ja tego znam, a dowiedziałam się o tem różnymi sposobami. Pytacie, co później z kwiatami robią, gdy już nielitościwą ręką podetną im życie? Oto starają się to życie sztucznym sposobem jak najdłużej w nich utrzymać. Związawszy wiele sióstr-kwiatów razem, mieszając gatunki i barwy, tak je nieraz skrepują, że soki z nich wyciskają, ale za to utworzony w ten sposób bukiet kładą w porcelanowy wazon z wodą, którą pozwalają im pić bez tchu — ciągle. Wazon taki stawiają na środku salonu na stole, i pozwalają patrzeć biednym kwiatom przez szyby na słońce, na siostry-rośliny, na pokrewne drzewa i trawę. Wyobraźcie sobie, jaki smutek je wtedy ogarnia, jak ponurą im się wydawać musi ta świetna klatka, w której je zamknęto! Ale ludzie tego nie czują i nie rozumieją, im się może nawet zdaje, że gdy nas w tym błyszczącym od zbytkownych cacek salonie ustawiają, to nam przyjemnie, to nam miło, a może i o tem wcale nie myślą. Byle oni na nasze jaskrawe, wesołe barwy patrzyli, byle w pokoju rozchodził się zmieszany zapach wszystkich kwiatów, to i dobrze! Bo trzeba wam wiedzieć, że z bólu nietylko łzami^a płaczą nie-szczęśliwe siostry nasze, ale także silniejszym o wiele zapachem błagają jakby litości. Ale ludzie tego nie rozumieją!

Gwoździk (*zaciekawiony*). Pomimo to jednak taki inny świat, jak w tym salonie, o którym Róża opowiada, musi być ciekawy i dziwny. Ile tam pięknych musi być rzeczy! Może równie pięknych, jak i tu w ogrodzie, a może jeszcze piękniejszych.

Rumianek. O nie, tam niema słońca błyszczącego,

świeżej rosy porannej niema, to już dosyć, by tam pięknie być nie mogło.

Bławatek. Tam niema szerokiego, złotego pola i skowronka, co w górze hymn poranny śpiewa.

Dzwonek. Tam niema ciemnych konarów, drzew wysokich i niema wilgotnego mchu pod stopami i zapachu ziół niema, ani chłodu leśnego, to już dosyć, tam nie może być pięknie!

Gwoździk. Żadne z was jednak, siostry moje, nie widziały, co tam jest, a czego niema.

Wszystkie. Ale widzieć nie chcemy i serca nam się krają, kiedy siostry nasze, porwane okrutną ludzką ręką, ten los spotyka.

(*Wbiega lekko podskakując, chłopczyk przebrany za Motylka. Ubranie może być różnokolorowe: na jasnem tle ciemniejsze kregi, lub centki, takież skrzydełka u ramion. Mogą być także na piersiach i na plecach przytwierdzone dwa wielkie motyle z kolorowej bibułki zrobione. Podbiega do każdej z dziewczynek kolejno przesyłając ręką pocałunek i wołając szybko*):

Motylek. Moje uszanowanie pięknej pani Róży, jak się masz ognisty Gwoździku, dzień dobry miły Rumianku, dobry dzień kochany Bławatku, buzi smętnemu Dzwonkowi. Jak się macie, bo ja bardzo dobrze bawię się, doskonale, a choć mnie pani Pszczółka nazywa próżniakiem, ale ja pracuję cały dzień. Frrrrr... (*przebiega całą scenę i zatrzymuje się przy kwiatkach*). Ale, ale, moje kwiatki, zgadnijcie skąd wracam, gdzie byłem, co robiłem? No, zgadnijcie, nie zgadnicie, a co? Ale jesteście bardzo ciekawe, już ja to widzę, szczególnie Gwoździk to już płatki nastawia, żeby lepiej usłyszeć.

Róża. Mój Motylku, tak się trzepoczesz i tak prędko mówisz, że cię zrozumieć, ani rozmówić z tobą nie można.

Motylek (*okręca się szybko kilka razy*). Frrrrr... przepraszam panią Różę, królowę roślin i kwiatów, przepraszam po stokroć, listki całuję, łodyżki, korzonki całuję. Już nigdy nie będę. (*Okręca się znowu bardzo prędko*). Frrrrr... to już sobie odfrunę.

Gwoździk. Poczekaj no, miałeś opowiedzieć, co widziałeś!

Rumianek. Zacząłeś już coś mówić.

Dzwonek. Nigdy nie skończysz.

Motyl (*uradowany, podskakując*). A co, ciekawe, i jakie ciekawe jeszcze (*skacze po scenie lekko z jednej nogi na drugą*). Gdzie byłem, co robiłem, co widziałem!...

Róża. Zawsze taki sam i niepoprawny. Jakaż z tobą rozmowa, stańże chwilę na miejscu.

Motyl. A? tak jak wy, co zawsze na jednym miejscu stoicie. Dziękuję, ja tak nie mogę (*okręca się*). Frrrrr... ale wam opowiem...

(*Wbiega dziewczynka przebrana za Pszczółkę, w czarnej, spodnicze i bluzce w żółte pęgi. U ramion skrzydełka. Na głowie przytwierdzona duża pszczoła z bibułki*).

Pszczółka. Bzzzz... jak się macie kuzynki, (*podbiega do każdej lekko, lecz nie tak szybko jak motylek i każdą po kolei całuje. Czyniąc to, mówi*): Piękny, słoneczny dzień zesłał nam Pan Bóg, dzień stworzony do pracy. Nie czuję zmęczenia, choć wracam z lasu i z pola, przebiegam tędy i do ula mego spieszę, bo już słońce niezadługo spaść pójdzie. Żegnaj was, kuzynki. Bzzzzz... (*chce odbiegać*).

Dzwonek. Pszczółko, pszczółko, a co tam w cichym lesie słychać?

Bławatek. Pszczółko, pszczółko, co tam w polu szerokim słychać?

Pszczoła. Pięknie w lesie, pięknie w polu... Nie mam czasu. Bzzzzz... (*chce odbieda*).

Motyl (*podruwu, zabiegając jej drogę*). Frrrrr... Uszanowanie pani pszczołce, ze mną to i przywitać się nie raczysz, a jam zawsze twój przyjaciel.

Pszczoła. Ach, ty lekkomyślny próżniaku, cały dzień pewno hulałeś...

Motyl. Nie, nie, bawiłem się doskonale przez dzień cały.

Pszczoła. Tak, tak, znam ja was dobrze wszystkich. Bzzzzz... (*odlatuje*).

(d. c. n.)

DZIECI W PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg).

VI. Przygoda Helenki i Janka.

O piątej po południu zaszły obszerne dwa landa, do których wszyscy wsiadają z radością. Janek robi uwagę, że zawsze przyjemniej jest jeździć niż chodzić, a nikt mu nie przeczy. Pan Korwin i pan Nałęcz z czwórką dzieci sadowią się w jednym landzie: w drugim dwie mamy, stryjenka i panny Spokojnickie.

Stryjenka Nałęczowa spogląda na niebo i wyraża obawę, żeby po takim wielkim upale nie zebrała się burza, ale ktoby się tam kłopotał o to zawczasu! Widocznie, że stryjenka obawia się wszystkiego, i zawsze przewiduje jakieś wypadki...

Fiakry jadą prędko, bo chcą pokazać „warszawskiemu państwu,” że krakowskie konie nie gorsze od warszawskich. A powozy daleko lepsze od warszawskich dorożek — prawie takie jak powoz cici-babci — robi uwagę Janek, którego zawsze żywo zajmują wszystkie szczegóły dotyczące stajni i wozowni.

Ta rączność krakowskich koni nie wszystkim się podoba: z drugiego landa dobiegają krzyki strachu, wydawane przy zakrętach przez stryjenkę Nałęczową i jej córki. Nasza czwórka nie obawia się byle czego i żartuje z tchórzów.

— Nie krzyczcie, bo się konie spłoszą! — woła Tadzio, zapominając, że oprócz Jadwini i Wańdzy krzyczy także i stryjenka.

— Panny Spokojnickie zrobiły się „Niespokojnickie” — żartuje z kolei Helenka. — Chyba teraz mama i ciocia nie każą mi ich naśladować?

— No! no! dzieci! dajcie pokój wyśmiewaniu — upomina pan Korwin. — Dzień się jeszcze nie skończył i nie można wiedzieć, co się komu przytrafi...

— Mnie się nic nie przytrafi, bo jestem grzeczny i niczego się nie boję! — upewnia Janek, który jak wielu chłopczyków lubi się przechwalać przy łada sposobności.

Powozy mkną szybko mimo gorącą, i prędzej niż się

kto mógł spodziewać dojeżdża całe towarzystwo do wysokiego wzgórza, na którego szczyt prowadzi wygodna dróżka, kręcąca się ślimakowato po stromych ścianach.

— Mimo, że wszyscy tu są grzeczni i niczego się nie boją — powtarza żartobliwie pan Korwin — ośmielę wygłosić przestrożę, ażeby szanowne a grzeczne osoby raczyły dla bezpieczeństwa iść nie brzegiem, ale środkiem drogi.

Janek i Helenka stanęli w pierwszej parze na czele pochodu, trzymając się za ręce. O! oni nie myślą pełzać jak ślimaki, a wiadomo, że ze stryjenką Nałęczową wszyscy muszą iść pomaleńku... Oni chcą być najpierwsi na szczycie i zobaczyć, co stamtąd widać... I podczas gdy wszyscy idą zwolna, przystając co chwila i przysłuchując się objaśnieniom pana Korwina, Helenka i Janek pędzą co sił starczy pod górę. Słońce niemiłosiernie pali, powietrze duszne i parne, tchu im braknie, ale biegną mimo to, radzi, że wszyscy zapomnieli o nich. Lecz nagle przypomniał sobie jeden tatuś o zbiegach — i spojrzawszy w górę, struchlał, gdyż na wyżej położonym zakręcie drogi zobaczył parkę dzieci, biegnących nie środkiem, ale samym brzegiem drogi, z takim pośpiechem, jakby ich kto gonił.

— Helenko, Janku! Nie tak prędko! Ostrożnie! — zawołał pan Nałęcz, przerywając panu Korwinowi.

Ale roztrzępący nie usłyszeli jego wołania i znikli na zakręcie, nie zwalniając biegu. Po chwili ukazali się jeszcze wyżej ponad głowami całego towarzystwa, które przystanąwszy dla nabrania tchu, patrzyło z przestraszonym na nieostrożność nieposłusznej pary. Helenka i Janek przebiegli cwałem cały obwód i już mieli zakręcić, gdy widocznie coś zwróciło ich uwagę, bo przystanęli na samym brzegu drogi i przechylili się na dół.

— *Rechts links!* — doleciało wołanie niewidzialnego oficera, mustrującego żołnierzy na równinie.

A w tej samej chwili odpowiedział mu przeraźliwy krzyk. „Aj!” i Helenka z Jankiem, trzymając się za ręce, runęli w dół. Widocznie zapomnieli, że stoją na brzegu dróżki i, postąpiwszy krok dalej, stracili grunt pod nogami.

— A nieposłuszne smarkacze! — huknął pan Korwin i popędził na ratunek wraz z panem Nałęczem i Tadzkiem.

Za nimi puściły się przerażone mamy i Janka, pozostawiając na miejscu samą stryjenkę Nałęczową i panny Spokojnickie, krzyczące przeraźliwymi głosami — nie bez racji tym razem — ale bez skutku, bo krzyk nikomu jeszcze nie pomógł w niebezpieczeństwie.

Lecz zanim dobiegli rodzice, poskoczył im na pomoc bliżej będący przechodzień, podniósł z ziemi roztrzępionych, którzy przewinawszy koziółka stoczyli się głowami na dół na ścieżkę. — Pomógłszy powstać dzieciom zaczął się oglądać za ich kapelusami, które w dużych podskokach pędziły, na dół — na dół — ku równinie.

Nadbiegli i rodzice, lecz nie uspokojeni widokiem stojących już dzieci, zaczęli oglądać czy wszystko u nich całe. I okazało się, że u nich wszystko całe, ale na nich! Miły Boże! świeżutkie rękawiczki, przywdziane na wycieczkę, popękały na dłoniach: sukienka Helenki pozieloniona od trawy i powalana ziemią: majteczki Janka rozdarte na kolanie — a kapelusze pogięte i pooblamy-

wane przyniósł pocziwy człowiek, przejęty współczuciem. A najgorsze ze wszystkiego, że i kształtny nosek Helenki, z którego zawsze jest taka dumna, — i krótki nosek Janka, podrapane do krwi, a na czołach obojga guzy. Nie można się też dziwić, że oboje zalewali się łzami, i długa chwila minęła zanim ich rodzice zdołali uspokoić. Tymczasem i stryjanka Nałęczowa, blada z przerażenia, dowlokła się z córkami do miejsca wypadku, nadeszła jakaś baba z dzbankiem wody i szklanką — więc obmyto pokaleczone twarzyczki. Dzieci napiły się wody a podziękowawszy za pomoc, ruszyli wszyscy dalej, powoli i ostrożnie. Humory zwarzone tym wypadkiem, nie mogły powrócić od razu do równowagi. Dopiero piękny widok, który się ukazał z wierzchołka wzgórza, rozjaśnił twarze, jest bo też na co popatrzeć!

(d. c. n.)

METAGRAM.

Przez D dla chorych w lekach stosowane,
Przez Ł do wypoczynku nieraz pożądane.
Przez K to rodzaj ptaka najwięcej zbliżony
Postacią i naturą do zwyczajnej wrony.
Przez R wreszcie to rzeczka, co w naszej krainie,
Pod miastem, bliskiem nazwą, wolnym nurtem płynie.

FIGIEL ARYTMETYCZNY.

p. Stokrotkę z za gór.

Był parkan 20 stóp wysoki. Ślimak, który chciał się dostać na jego szczyt, pełzał w ten sposób, że każdego dnia posuwał się o 4 stopy i 4 cale w górę, każdej nocy cofał się wstecz o 3 stopy i 8 cali. Ile dni potrzebował, aby stanąć u szczytu?

ZAGADKA.

Zbiera słodycz z kwiatu,
Brzękiem się odzywa,
Zwinna i skrzydlata,
Ale też złośliwa.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go.

Szarady I-ej: Se — kret. II-ej: Sza — ra — da.

Logogryfu:

1) Jeżozwierz. 2) Oaza. 3) Zając. 4) Ech! 5) Fasada.
6) Kair. 7) Rey. 8) Aldona. 9) Sokrates. 10) Zaduszki. 11) Erie.
12) Wilanów. 13) Skutari. 14) Królewiec. 15) Iloraz.

Józef Kraszewski — Zacharyasiewicz.

Zagadki: Równego sobie.



Skrzynka do listów.

Ciekawej. Konkursa na wypracowania i roboty ręczne dla panienek będą ogłoszone w Nr. 26-ym. Po ukończeniu w dodatku książkowym „Dziedzictwa Karola Wielkiego” rozpoczniemy w Nr. 28-ym powieść z czasów naszych prababek Teresy Jądwi p. t. „Hrabina.”

Dobre rozwiązania ostatnich zadań jako też zadania własnego układu nadesłali: Jania z Łasku, Pol. Dziawica, Wieśniaczka, Tuhaj bej, Ludwik M. z Władykaukazu, Gustawa Dobr., Steficia z Łodzi, Cyganka z nad Wisły, Leśna Konwalia (przy łamigłówce podała tylko same rozwiązanie bez znaczenia wyrazów) Sir Warburton, Janek podróżnik i Libella.

Dziękuję serdecznie za przysłanie ładnych kart pocztowych: Łochoźwiance, Tadeuszowi i Małemu Tolusiowi.

Cyganów nie lubię, lecz dla Cyganki z nad Wisły mam szczerą sympatię i bardzo rada jestem, że ją do grona moich korespondentek zaliczyć mogę. Łamigłówkę przyslij.

Oryginalny pseudonym wybrałaś sobie *Betulo Oycowiensis*, ale bardzo przyjemnym i zajmującym obdarzyłaś mnie listem. Możesz być pewna, że nie znudził mi od początku do końca, a najlepszym tego dowodem, że go dwa razy odczytałam. Takie właśnie listy otrzymywać lubię, wspomnienia podróży zeszłorocznej, mile spędzonych wakacji, wzmianka o rodzeństwie, o tem co czytasz z upodobaniem, od pierwszego razu zaznajamiają nas z sobą, pomagają do przełamania pierwszych lodów naszej znajomości piśmiennej. Mam więc nadzieję, że pomiędzy nami zawiąże się stała korespondencja.

Guci Dobr. za pozdrowienia dziękuję, listu zapowiadanego oczekiwać będę, ale nie ociążaj się z nim zbyt, bo ja wkrótce wyfrunę na wakacje. Bardzo się cieszę, że twój braciszek zadowolony z nagrody.

Rybitwie z nad Wisły. Adresu „Paniczyka” nie znam, mogłaby go udzielić chyba sama autorka p. Morawska, której obecnie w Warszawie niema. Za życzenia wesołych wakacji dziękuję i życzę ci nawzajem byś się bawiła doskonale. Żadaną kartkę przysył ci chętnie, jeżeli tylko zatrzymam się w W. Serdeczne pozdrowienia dla ciebie i Braciszka Rybitwy. Temu ostatniemu b. dziękuję za list, który chociaż ołówkiem — pisany bardzo porządnie i wyraźnie. Musi być z niego gospodarz nielada, kiedy pisuje do tatusia, bawiącego w Karlsbadzie, takie długie listy o gospodarstwie.

Sarenkę Modrooką odsyłam do odpowiedzi danej przez Redakcję Ciekawej.

Pol. Dziewicy. Z błędów cudzych nigdy się nie wyśmiewam, chyba wyjątkowo z czyjej zarozumiałości i próżności. Twój rysunek własnoręczny bardzo mile papier listowy ozdobił. „Quo Vadis” w opracowaniu dla młodzieży kosztuje bez posyłki pocztowej rub. 2.

Bardzo się cieszę, **Litwinko**, że czujesz się weselszą i radosniejszą na duszy, a jeśli na to wpłynęła choć w maleńkiej części moja rada, to jest mi tem przyjemniej, bo pragnę zawsze, aby odpowiedzi moje nie pozostawały bez wpływu. Zgadza się w zupełności z tobą, że nic niema miłszego i bardziej ożywczego, jak pobyt wiosną na wsi. I ja na lato wyjadę, jak zwykle i polecę sobie, od ciebie na południe w rodzinne strony Adama Mickiewicza.

Wasza Jaskółka.

Przypominamy o wczesnem odnawianiu prenumeraty na kwartał III-ci.